PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Nr. VIII. Prenumerata roczna 5. zł. Sierpień-Wrzesień 1929. Rok IX.

-[IX]

O życiu chrześcijańskiem. (c. d.)

Chrześcijanka to ktoś, który wierzy, modli się, który kocha i działa.

Chrześcijanka to ktoś, który się modli.

Co to znaczy modlić się i jak należy się modlić?

Modlić się znaczy obcować ze światem niewidzialnym, z istotami rzeczywistemi, ale duchowemi z któremi nas łączą wspólna miłość, wspólne myśli, odnoszące się do chwały bożej, a także pamięć na cuda miłosierdzia bożego i dobrodziejstw bożych z jednej strony, a naszej niewdzięczności i naszych win z drugiej. Wszystko co się odnosi do naszego dobra bardzo te istoty obchodzi.

Modlić się, znaczy wypowiadać swoją miłość, swoją wdzięczność.

Przez modlitwę pozostajemy w łączności z istotami, pięknemi, dobremi, kochającemi, które już nam czyniły i chcą nam nadal dobrze czynić.

Stąd pierwszym wyrazem naszej modlitwy powinno być uwielbienie i wdzięczność; uczucia te znajdują wyraz w litanjach, koronkach itd.

Nasze hołdy podobają się tym istotom, czekają na nie, cieszą się niemi, kochają nas więcej w miarę jak je składamy.

Modlić się, znaczy wyrażać swój żal, swoją skruchę, swoją chęć poprawy, zadośćuczynienia i uświęcenia siebie i drugich.

Modlić się, jest to przedstawiać swoje potrzeby i trudności. Chr. Pan, jak naucza św. Paweł, stał się nam we wszystkiem podobnym by lepiej nas rozumieć.

Modlić się, to wypowiadać samorzutnie wszystkie swoje braki.

Najpiękniejszą ze wszystkich modlitw to Ojcze nasz, modlitwa, której Chr. P. nauczył, w niej mówimy najprzód o Bogu, a potem prosimy o chleb codzienny, o siłę do przezwyciężenia złego. Tak się należy modlić, takiego sposobu modlitwy uczyć.

Modlitwa jest pierwszorzędnym środkiem wychowawczym, bo wprowadza duszę w świat idealny, w stosunki z istotami wyższemi, w atmosferę światła i pokoju, przez modlitwę pogłębiamy siebie samych, poznajemy lepiej naszą słabość, ważność naszych obowiązków i odpowiedzialności. Modlitwa rozszerza nasz horyzont poza przestrzeń świata i czasu.

Poza modlitwą niema nic w życiu ludzkiem coby było równie wzniosłe i głębokie. Modlitwa to poemat duszy, ona oswobadza myśl, uspokaja i oczyszcza serce, wzmacnia wolę, kończy się działaniem.

Jak należy się modlić? Jedni posługują się pewnemi formami modlitwy, inni utrzymują że to jest rzeczą zbyteczną.

Modlitwa polega na wewnętrznem usposobieniu duszy, które się ukrywa w danej formie.

Modlić się, jest to wymawiać jakąś formę modlitwy z odpowiedniem wewnętrznem usposobieniem. Bez tego usposobienia modlitwa staje się bezwartościową. Forma powinna podtrzymywać modlitwę, kierować nią, ale jej nie przygniatać i nie zatruwać.

Forma modlitwy zacieśnia łączność między ludźmi. Modlitwa liturgiczna jest modlitwą społeczną, te same modlitwy powtarza cały świat co rano przy mszy św.

Bez modlitw liturgicznych nie byłoby modlitwy społecznej. Obok niej jednak musi istnieć modlitwa osobista. Trzeba jednocześnie zauważyć stosunek modlitwy błagalnej do innych form modlitwy. Modlitwa błagalna ma stać biorąc rzeczy logicznie i psychologicznie na ostatniem miejscu, jest jednak słuszną i sprawiedliwą, bo Bóg uczynił z niej warunek do otrzymania łaski i dobrodziejstw, a także dlatego, że modlitwa jest rozmową przyjacielską, więc rzecz naturalna, że mówimy w niej o naszych potrzebach i cierpieniach.

Nasze zachowanie na modlitwie powinno być wewnętrznie pełne uszanowania i skupienia. Wiara odsłania przed nami świat niewidzialny, dusza nasza, istota niewidzialna, stoi w czasie modlitwy wobec innych istot niewidzialnych.

Zachowanie nasze zewnętrzne powinno być pełne prawdy i szczerości. Jeżeli wymawiam słowa uwielbienia i miłości, trzeba żebym

wewnętrznie uwielbiała i kochała. Usposobienie wewnętrzne powinno podtrzymywać zachowanie zewnętrzne, to ostatnie ma być wyrazem tego, co wewnątrz czujemy. Zachowanie zewnętrzne pełne uszanowania i skupienia wpływa na usposobienie tego, który się modli i pociąga innych również do uszanowania i skupienia.

W jaki sposób nauczyć się modlić i drugich uczyć modlitwy?

Trzeba najprzód zrozumieć czem jest modlitwa, jaką ma wartość umysłową, moralną, społeczną i wychowawczą. W porównaniu z modlitwą nic nie ma takiej wartości pod wzgl. religijnym i moralnym i nic równie odpowiedniego dla każdej duszy. Niema lepszego nad nią środka wychowawczego, trzeba się modlić myślą i słowem, rozmawiać z Bogiem i Chr. P., przemawiać samorzutnie, osobiście, mówić że się Go kocha, że się Go wielbi, mówić o potrzebach kościoła, o potrzebach innych ludzi i świata całego, o obowiązkach swego powołania, o tem coby można dobrego zrobić.

Trzeba też poddać modlitwę ustną pewnym prawidłom, odmawiać ją regularnie w sposób wyraźny, niech będzie bogatą w myśli i uczucia, dobierać roztropnie jej formy.

Układ zewnętrzny powinien być karny. Należy skupić się przed modlitwą, uczynić z uszanowaniem na sobie znak krzyża św.; o ile możności modlić się klęczący. Uważać wszakże wypada, aby nie przekraczać granic swoich sił fizycznych, moralnych i umysłowych, ale w granicach roztropności trzeba być wymagającą dla siebie i dla drugich.

Z życia p. Jenerałowej (mężatka) 44.

Razu jednego mój mąż zaprosił na obiad Derwisza Baszę, komendanta Szumli. Był to turek zupełny t. j. że nigdy nie był z Turcji wyjechał, ani zagranicą się uczył, ale był to turek nowego autoramentu, niezmiernie przystojny i zgrabnie zbudowany, ubrany w mundurze bardzo wykwintnie i w całym swoim pozorze, tem coby zagranicą nazwano lwem.

Wszystkie nieprzyjemności jakie się na niemądrą gospodynię skupić mogą z okazji takiej, wszystkie się na mnie skupiły. Kot pie-

czeń porwał w chwili kiedyśmy do stołu siadali. P. Birt krem się rozpuścił na półmisku. Wina nie było, bo go Turcy nigdy nie piją, ale on go właśnie chciał. Turcy brzydzą się niesłychanie wieprzowiną, myśmy byli doszli do tego, żeśmy co tydzień lub dwa tygodnie wyprawiali kogoś co okoliczne wsie objeżdżał, skupował drób, jarzyny, owoce, do naszego użytku potrzebne.

Tego dnia nieszczęście chciało, że naszemu Sobolewskiemu pierwszy raz udało się zdobyć jakieś trzy prosięta i triumfalnie z niemi wjeżdżał na nasze podwórze, właśnie jakieśmy do stołu mieli zasiąść. Tyle te prosięta kwiku narobiły, że domyślam się, że jak pocztylioni dawniej najgłośniej trąbili przed domy zajeżdżając, tak i Sobolewski musiał chyba te prosięta za ogony ciągnąć, ażeby tak wrzeszczały, a zdobycz jego większe nam zrobiła wrażenie. — Wrażenie przynajmniej na mnie było tak wielkie, że zamiast żeby zagłuszyć prosie kwiki moją rozmową, zupełnie języka w ustach zapomniałam, a milczenie tem było głuchsze, że ja jedna rozmawiać mogłam po turecku, a że mój mąż na mnie liczył.

Po obiedzie Derwisz Basza widząc szachy na stole, pytał czy gram i zaczął ze mną grać. Wielka to była ulga, bo nasza rozmowa wnet się wyczerpała. Co więcej, stanowisko kobiety wobec Turków jest zawsze trudne, bo oni nie mogą pojąć, ażeby kobieta niezawualowana i swobodnie z nimi mówiąca, mogła być uczciwą. To też w całem zachowaniu się Derwisza Baszy było coś niepewnego, jak gdyby sam nie wiedział ile sobie względem mnie może pozwolić.

Zasiadłszy do szachów, siadł na naszej ławie na piętach, myślałam sobie, że to w ich zwyczaju, jednak było mi niemiło, po chwili trochę się rozparł i rozpiął jeden guzik u munduru, pomyślałam sobie, to gorzej, tem gorzej, że bałam się, ażeby mój mąż nie znalazł się w trudnem wobec niego położeniu. Mając z nim ciągłe służbowe interesa, musiał dla niego być grzecznym, a skądinąd czułam, że niegrzeczności względem mnie znieść nie mógł. Zaczęłam się bardzo modlić. Po chwili Derwisz Basza zdejmuje fez t. j. czapkę czerwoną turecką i rzuca na ławkę. To już bardzo źle pomyślałam sobie. Bo u Turków nakrycie głowy jest znakiem uszanowania, a od-

krycie jej, odwrotne ma znaczenie. Czułam że mnie gniew ogarnia: ale się nie zdradziłam i słodko się uśmiechnąwszy powiedziałam mu: „Basza teraz jest zupełnie europejczykiem". „Dlaczego" zapytał, bo w Europie mężczyźni tak kobiety szanują, że nigdy przed niemi głowy nie nakrywają i skoro się kobieta pokaże, zaraz przed nią czapki zdejmują.

Wrażenie tego niby komplementu było cudnem. Wyprostował się Derwisz i do końca partji i wizyty nietylko że był przyzwoity, ale z największem uszanowaniem.

W czerwcu pojechaliśmy do Stambułu, gdzieśmy miesiąc zabawili, a stamdąd do Paryża, gdzie mój mąż potrzebował lepiej się porozumieć o swoją dywizję z Cesarzem Napoleonem i ministrami wojny i spraw zagranicznych.

Pannie Birt chciało się strasznie podróż odbyć po Turcji; daliśmy jej wózek dwukonny, Sobolewskiego na koźle i Sabti t. j. tureckiego żandarma z listem Derwisz Baszy polecający ją władzom tureckim. Mój mąż pytał, czy i mnie taka podróż nie nęci; ale jabym się do browolnie i bez wyraźnego obowiązku nie była z nim rozstała za nic w świecie.

Panna Birt wyjechała na tę podróż dwa tygodnie przed nami z Szumli, tak żeśmy się spotkać mieli na dany dzień w Warnie. Przyjechała zachwycona, uradowana i opalona jak murzyn, co mojej próżności mocno dokuczyło na sam przyjazd do Stambułu, bo zawsze miałam próżność względem niej niemałą. Chciałam, żeby się ona wszystkim tak podobała jak mnie, żeby ją wszyscy kochali, tyle cenili co ja.

Podróż do Stambułu, pobyt w Stambule i podróż do Paryża nie zostawiły mi żadnego śladu w pamięci.

Za przyjazdem do Paryża zamieszkaliśmy parterowe pokoje na Quai d' Orleans, tak te co mają okna na Quai, jak te, które mają okna na podwórze, późniejsze mieszkanie p. Niedźwieckiego.

W parę dni po naszym przyjeździe mój ojciec, który niedawno był sobie nogę w kostce złamał i który jeszcze chodził o kuli, przywiózł nam do Paryża naszego syna z mamką.

Pojechaliśmy na ich spotkanie na kolej. Władyś miał niespełna 20 miesięcy, chodził i mówił doskonale, ale tylko po francusku z powodu mamki burgundki.

Dosyć było późno, dziecko było blade, zmęczone, śpiące, ale patrzało na nas jak gdyby miało poczucie, że nie jesteśmy dla niego ludźmi zupełnie obojętnemi. Nie wiem kto kogo się bardziej bał, ono mnie, czy ja jego. Myślałam sobie, to dziecko, to człowiek, a ten człowiek, to moje dziecko! — Dziecko i moje! dwa wyrazy, które dla mnie były bardzo tajemnicze. Nie wiedziałam czem może być dziecko, i nie wiedziałam, jakim sposobem coś może być mojem, najsilniejsze miałam uczucie, że nic na świecie mojem nie jest.

Jedno tylko dziecko na świecie znałam to siostrę moją Annę, a do tej nie wolno mi się było przybliżyć. Zdawało mi się stąd, że do żadnego dziecka nie mam prawa się zbliżać. Zdawało mi się, że mój ojciec ma do niego prawo i mamka, ale nie ja.

Mój mąż był się zaopatrzył w jakąś zabawkę i jak ją chłopcu dał, ten najuprzejmiej w świecie i najwyraźniej odpowiedział „merci papa".

Istotne zdumienie nas opanowało nad rozumem i dobrem wychowaniem naszego syna. Mój ojciec uradowany był tym popisem dojrzałości. Mój mąż, który pierwszy raz w życiu słyszał się nazwanym ojcem i to przy pierwszem przemówieniu dziecka, przy pierwszem usłyszeniu głosu jego, ciągle potem powtarzał: „merci papa".

Nazajutrz, jeszcześmy się bardziej utwierdzili w przekonaniu o mądrości naszego chłopca, gdy opuściwszy piłkę, a ta potoczyła się pod kanapę, starał się ją stamtąd wydobyć za pomocą laski; a nie mogąc sobie poradzić prostym końcem, wziął laskę tym końcem do ręki, drugim, zakrzywionym, czy zgiętym piłkę jakby hakiem wydobył.

Drugi jego dowcip, jak się z nami trochę ośmielił, ile razyśmy się do niego razem przybliżali, brał ojca za szyję jedną ręką, a mnie za szyję drugą rączką i ściągał nasze głowy do siebie całą siłą. A ojciec jego mawiał: „ależ on mądry jest ten chłopiec, zna się na rzeczy.

Moją największą przyjemnością było to, że był taki porządnicki i jak gdzie najmniejszą plamkę widział to wołał na mamkę „Nounou

sal, Nounou sal", nie dając jej spokoju, póki nie przyszła i nie wytarła. Księżna Adamowa przezwała go le Marquis de Mirliflore i tak go wszyscy nazywali.

Krótki nasz pobyt w Paryżu, tyle nam przyniósł przyjemności ile nam to dziecko dać jej mogło, bo poza tem, ze wszechmiar był bardzo przykrym i męczącym.

Pierwsze piętro naszego domu, było jeszcze nie do użycia, na dole było nam ciasno i niewygodnie. Jan Cholewa, który przez cały pobyt na wschodzie był dla mnie opatrznościowym człowiekiem, stęskniony za krajem i rodziną opuścił nas, żeby wrócić do Krakowa, skąd był rodem.

Pannę służącą moją Brykczyńskę wyjeżdzając na wschód zostawiłam przy dziecku w mniemaniu, że mu będzie przydatną, w czem się pomyliłam, bo mamka nie potrzebowała ani opieki, ani dozoru, ani pomocy, sama sobie i to z największą dla dziecka miłością radzić umiała. Ja zaś na wschód żadnej służącej nie wzięłam myśląc, że na miejscu łatwiej dostanę i tak po turecku łatwiej się nauczę!!!

W istocie w Szumli znaleziono mi jakąś kobietę, która podjęła się usługiwania mi; ale ta usługa zależała na tem, że przychodziła kiedy jej było na rękę z dzieckiem na ręku i siadała sobie na środku pokoju, na ziemi, żeby dziecko karmić i przypatrywała się śpiącemi oczami, jak ja się po pokoju krzątałam.

Wyrysowałam i gdzieś mam portret tej garderobianny, po której tyle tylko miałam pożytku; innej sobie znaleźć nie umiałam odrazu, a przyjechanie bez żadnej do Paryża dość było niedogodne. Nareszcie P. Birt pojechała do Anglji, więc pod względem materjalnym bardzo mi było źle; ale to było najmniejszą przykrością.

Mój mąż gorąco nastawał, aby Witold Czartoryski jechał na wschód i wszedł do służby w dywizji polskiej. Mówił, że to dla niego obowiązek, że będzie korzyścią na teraz i na później; że się da poznać i ocenić, że już służbę wojskową w Hiszpanji przeszedł, że mu to przyjdzie z łatwością, może z odznaczeniem, potrzebnem do zajęcia właściwego mu stanowiska.

Było to powodem najrozmaitszych dyskusji niezadowolenia x. Adamowej. Ci wszyscy, którzy zawsze szukają własnych korzyści w poróżnianiu otaczających, rozdmuchiwali to nieporozumienie i stosunki przykremi czynili.

Gorący przyjaciele Czajkowskiego, których było mnóstwo i w najbliższem xięcia otoczeniu, nie mogli przebaczać memu mężowi, że nie stara się o zrobienie temuż właściwego stanowiska, że go niedosyć popiera, że się z nim nie porozumiewa w tem co sam czyni i t. d. Z niesłychaną zaciętością się wyrażali. Niemało ich do tego ośmielały listy Mickiewicza ze Stambułu pisane, pod wpływem Czajkowskiego.

Dziwne są sprzeczności w losach ludzkich. Mój mąż niemały pomnik wniósł sławie Mickiewicza, dając na swój koszt stenografować kurs jego w College de France „O literaturze Słowiańskiej“. Kurs ten będąc improwizacją byłby niezawodnie zaginął, gdyby nie stenografja. A Mickiewicz niemało się przyczynił do wiecznej chwały mego męża tyle go szkalując i drugich długo urokiem swego nazwiska do tego wciągając.

Jak mój ojciec przyjechał do Paryża, nadszedł do nas raz pan Zwierkowski, (którego Lenoirem nazywano, bo wziął nazwisko, na wschodzie będąc z poręki X-cia). Myśmy właściwie wyjść musieli, a mój mąż przedstawił p. Zwierkowskiego memu ojcu mówiąc, że to stary i dobry przyjaciel.

Ledwośmy wrócili, mój ojciec mówi do mego męża: „a wiesz co, jeżeli takich tylko masz przyjaciół, to jabym wolał i nieprzyjaciół takich nie mieć“. Zwierkowski godzinę przepędził na wyrzekaniu na mego męża. Takich było co niemiara.

Mnóstwo było takich, co chcieli dorwać się do stopnia i żołdu, a więc przychodzili służby swoje ofiarować. Gdyby ich był wszystkich przyjmował, byłby miał więcej oficerów, niż żołnierzy. Co więcej mówił, że nie da nikomu stopnia wyższego jak ten, z którym ze służby innej wyszedł. To już wywoływało niesłychane gniewy.

Ale co więcej mawiał że ta dywizja da Bóg stanowić będzie jądro przyszłego wojka polskiego, że powinna być wzorową i że tylko porządnych i najporządniejszych oficerów przypuścić chce.

Drzwi jego zalegane były podającymi się do służby i odchodzącymi z wyrzekaniami na niego i groźbami zemsty. Odbywało się to czasem po trzeźwemu, a czasami po pijanemu. Poprostu strach było czasem z domu wyjść, strach chodzić na polskie nabożeństwo, gdzie się ich mnóstwo spotykało.

Ale nie na tem koniec. O ile niektórzy uważali, że mój mąż niedosyć ma dla Czajkowskiego względów, o tyle inni uważali, że ma ich za wiele. Że wszelkie zetknięcie z tym renegatem, stanowiło jakiś grzech pierworodny dla sprawy naszej na wschodzie, z którego się podźwignąć nie potrafi.

W pierwszym rzędzie byli tego zdania ks. Kajsiewicz i ks. Jełowicki. Przez krótkie chwile naszego pobytu w Paryżu, oniemal co dnia przychodzili to do księcia, to do mego męża i późno w noc przeciągali (na moje utrapienie) rozmowy o tym przedmiocie.

Mieszkanie nasze było tak ciasne, że mój pokój służył za salon, często upadając już ze znużenia, tylnemi drzwiczkami wchodziłam do alkowy zamkniętej i kładłam się póki oni rozmawiali; a potem znowu wstawałam, nie mogąc wytrzymać w tej alkowie, jakby w bębnie póki się gorąca rozmowa toczyła. Nie mogąc wrócić do gości na pół ubrana, często na podwórze wychodziłam z rozpaczy i przechadzałam się czekając kiedy się to skończy.

Nieraz opłakiwałam, że nie stoi w regule Zmartwychwstańców godzina, o którejby musieli iść spać.

Księża Zmartwychwstańcy dowodzili, że nie godzi się, ażeby Zamoyski, polak, dowódca polski, służył pod rozkazami byłego porucznika wojsk polskich, a teraz renegata w służbie tureckiej. A mój mąż znowu odpowiadał, że oni fałszywie rozumieją jego stosunek do Sadyka i że ocenienie go o tyle tylko do nich należeć może, o ileby stanowił jakieś przekroczenie praw bożych, czy kościelnych i dodawał: czy moglibyście mi odmówić rozgrzeszenia za stosunek czysto wojskowy ze Sadykiem, wynikający nie z wyboru, ale z nieuniknionych okoliczności i z przymierza między zachodniemi państwami, które miały postawić dywizję polską, a Turcją której służył Sadyk.

Księża odpowiadali, że wprawdzie rozgrzeszenia odmówićby nie mogli, ale że ganią najmocniej. I znowu mój mąż na to dowodził, że ich rzeczą rozstrzygać o tem, co dotyczy sumienia ale nie o tem, co dotyczy polityki, lub wojskowości, że to do nich nie należy.

Pobyt nasz w Paryżu krótko trwał, tyle tylko, ile było potrzeba memu mężowi, ażeby się widzieć z cesarzem i z ust jego otrzymać upewnienie, że sprzyja polskim myślom i nadziejom byle Anglja im się nie przeciwiła; że chętnie widzieć będzie polską formację i wydał rozkazy w ministerjum wojny, ażeby memu mężowi wydano broń, siodła, mundury, jakie sam obstaluje i w takiej ilości, co też uczynili.

Z Paryża miał mój mąż pojechać do Londynu, dla porozumienia z tamtejszym rządem, a ja miałam pojechać do Poznania. Mieliśmy jechać razem do Brukseli i tam się rozstać. Przed samym wyjazdem z Paryża, trzeba się było rozstać z mamką Guichard i wziąć na jej miejsce piastunkę. Dostała mi się z bożej łaski kobieta jakich mało musi być na świecie Zèlié Fagret, synowa odźwiernych na Quai d' Orleans. Podróż ta była niewymownie przykrą. Przykre mi było bliskie rozstanie z moim mężem; na domiar pojęcia nie miałam jak się zachowywać z małem dzieckiem, a do tego zupełnie zrozpaczonem.

Szkoły Pielęgniarskie w Polsce. *(dokończenie).*

Ze względu na wielkie zalety charakteru jakich ten zawód wymaga, szkoły pielęgniarskie muszą nietylko uczyć, ale przedewszystkiem wychowywać. Stąd istotną częścią tych szkół jest zawsze internat, gdzie kierowniczkami są wykwalifikowane instruktorki, wychowawczynie, posiadające w naszych młodych polskich szkołach w większości wypadków studja dopełniające zagraniczne.

Współżycie w internacie pozwala Zarządowi zorjentować się w charakterach, rozwinąć i utrwalić ich cechy dodatnie, wpajając w wychowanki zasady etyki zawodowej, a wyeliminować te uczenice, które nie dają rękojmi wyrobienia się. Szkół takich, typu nowoczesnego, wzorowanych co do zasad organizacji na najlepszych wzorach Stanów Zjednoczonych, znajduje się obecnie w Polsce pięć: Uniwer-

sytecka Szkoła Pielęgniarek i Higjenistek w Krakowie Kopernika 23. W zarządzie tej szkoły pracują dawne Kuźniczanki.

Poznańska Szkoła Pielęgniarek i Higjenistek. Poznań Grottgera 5.
Warszawska Szkoła Pielęgniarek, Warszawa Smolna 6.
Szkoła Pielęgniarek Czerwonego Krzyża, Katowice ul. Andrzeja 9.
Szkoła Pielęgniarstwa przy Szpitalu Starozakonnych w Warszawie.

Stosownie do ustawy, szkoły pielęgniarskie przyjmują kandydatki, które ukończyły co najmniej sześć klas gimnazjum lub posiadają wykształcenie równorzędne (sześć klas liceum, 3 kursa seminarjum nauczycielskiego i t. p.).

Po wstąpieniu do Szkoły, uczenice przechodzą kilkomiesięczny „Kurs Wstępny", na którym uczą się teorji i praktyki zabiegów pielęgniarskich, oraz nauk podstawowych jak Anatomji, Fizjologji, Bakterjologji, początków chemji; zasad odżywiania, Higjeny ogólnej i t. p.

W niektórych szkołach pod koniec tego początkowego okresu zaczynają już uczęszczać na 1—2 godzin dziennie do szpitala dla oswojenia się z tem nowem środowiskiem i wprawienia w najprostszych zabiegach około chorych. Właściwa jednak praktyka rozpoczyna się po zdaniu egzaminów z kursu wstępnego, po których przyjęte definitywnie uczenice, otrzymują mundur i czepek uczenicy pielęgniarki i obejmują ośmiogodzinne dyżury dzienne lub nocne, na oddziałach szpitalnych (w Warszawskiej i Krakowskiej Szkole są to kliniki Uniwersyteckie), gdzie pod kierunkiem stale tam pracujących instruktorek, uczą się wszystkich zabiegów i starań koło chorych, jakie wchodzą w zakres obowiązków pielęgniarki.

Obok tych dyżurów mają one jeszcze wykłady z przedmiotów takich jak: Patologja i choroby wewnętrzne, chirurgja, choroby dziecinne, położnictwo i ginekologja, choroby zakaźne, skórne, oczne, nerwowe, umysłowe, farmakologja, djetetyka, oraz dalszy ciąg teorji pielęgniarstwa.

W drugim roku nauki, w ciągu którego uczenice przechodzą także praktykę pielęgniarstwa Zdrowia Publicznego w poradniach przeciwgruźlicznych dla matek i dzieci, w tym roku uczęszczają one

również na wykłady Pielęgniarstwa Zdrowia Publicznego i inne odnoszące się do tej gałęzi ich pracy.

W szkołach tych przedmioty pielęgniarskie wykładane są przez wyspecjalizowane w tym kierunku pielęgniarki instruktorki, inne zaś przedmioty, przez lekarzy specjalistów, którzy przedstawiają swój przedmiot z punktu widzenia pielęgniarki i w potrzebnym dla niej zakresie.

Po dwóch latach uczenica otrzymuje dyplom, który uprawnia ją do praktyki, czy to prywatnej jako pielęgniarka domowa, czy też w szpitalach, w lecznicach lub w poradniach i szkołach jako higjenistka.

Ze względu na niesłychanie u nas szybki rozwój opieki nad matką i dzieckiem, walki z gruźlicą, higjeny szkolnej i innych gałęzi pracy zdrowia publicznego, wzrasta z dnia na dzień potrzeba jak największej ilości wyszkolonych pielęgniarek, tem więcej, że w miarę jak lekarze i odnośne władze zapoznają się z ich wartością, coraz bardziej starają się zastąpić siły niezawodowe, zawodowemi.

Niestety, pomimo dużej ilości dziewcząt z inteligencji garnącej się do tej pracy, szkoły pielęgniarskie nie mogą nadążyć temu zapotrzebowaniu, gdyż internaty ich nie mogą pomieścić wszystkich zgłaszających się kandydatek.

Ma to tę dobrą stronę, że pozwala Zarządom szkół wybierać z pośród napływających podań te, które przedstawiają najlepsze kwalifikacje pod względem wykształcenia, kwalifikacji duchowych i fizycznych oraz środowiska, z jakiego pochodzą.

Z drugiej strony zaś, wobec wzrastającego ciągle zainteresowania społeczeństwa, należy spodziewać się rozbudowy istniejących już szkół, a powstania nowych w większych centrach, zwłaszcza uniwersyteckich, co da możność wielu z pośród naszych młodych dziewcząt najlepszego typu, znaleźć zawód odpowiadający jej zamiłowaniom i szlachetnym skłonnościom, a zapewniający jej przytem byt materjalny.

Teresa Kulczyńska.

Batia.

Kto był w Czechosłowacji, ten mógł widzieć wszędzie, nawet w najmniejszych miasteczkach, wielkie plakaty, a na nich napis *Batia* i kolorowo narysowane buty.

W Czechach każdy wie kim jest Batia, to firma bardzo popularna; ma ona w Czechosłowacji sto sklepów z obuwiem.

Przy 15 miljonowej ilości mieszkańców zapotrzebowanie butów wynosi około 40 miljonów par rocznie, co zaś do cen, to dotychczas nigdzie w całym świecie niema tańszych, a Batia wyrabia w swojej fabryce w Zlinie przeszło 75.000 par dziennie. Na przyszły rok obiecuje wyrabiać 100.000 dziennie; z tego wywozi za granicę dwie trzecie, resztę sprzedaje w kraju.

Batia, zwyczajny rzemieślnik szewc, potrafił zorganizować wielką maszynę ludzką i ożywić całą biedną krainę górską i umiał dorobić się wielkiego majątku, którego nie używa dla siebie samego, ale tylko dla dobra swoich współpracowników, robotników. Nie jeździł do Ameryki dla zarobienia miljonów, pracował w kraju, aby swoim rodakom dać chleb.

W 1894 r. wyrabiał Batia zwyczajne papucie zatrudniając 50-ciu robotników.

Pomału bierze się i do skórzanego obuwia i już w 1915 r. pracuje u niego 2.000 ludzi w 1925 r. 5.200 ludzi a tego rokn 12.000 robotników.

Robotnicy biorą udział w zyskach fabrycznych. W każdej sali jest tygodniowy wykaz zysku i strat, które każdy może przejrzeć. Mają swoją współdzielnię konsumną, mleczarnię, mydlarnię, sklepy spożywcze i tekstylne, gdzie kupują wszystko po cenie kosztu, mają własną restaurację na 8 tysięcy obiadów; tam też mogą zjeść śniadanie i kolację. Zupa kosztuje 50 halerzy, mięso z jarzyną 1 kor. 50 hal. deser 50 hal. Cały więc obiad wynosi koło 65 groszy.

Mają domki rodzinne (600 domków) z ogródkami dla żonatych robotników. Warunkiem wszakże jest, żeby każdy miał własne całkowite i nowe urządzenie kuchni i sypialni; to zmusza do uprzedniej oszczędności.

Nieżonaci, osobno mężczyźni, a osobno dziewczęta, mają też swoje internaty za 6 kor. tygodniowo ($1^1/_2$ zł.) w ślicznych nowych domach z centralnem ogrzewaniem i kąpielą.

W pralni piorą im bieliznę z całego tygodnia za 1 kor. (25 gr.). Mają kinematograf na 2.000 ludzi za 50 hal. a bardzo często za darmo.

Codzień, przed rozpoczęciem pracy, jest pół godziny gimnastyki na świeżem powietrzu. Wieczorem są różne kursa dokształcające, czytelnia i wypożyczalnia książek, radjo, odczyty, a dwa razy dziennie w lecie muzyka w ogrodzie.

Mają swoją kasę oszczędnościową. Ponieważ przyjmują młodzież od 14 roku życia, po 10 latach może chłopiec odłożyć sobie ze 100.000 koron i już pomyśleć o założeniu rodziny.

Dziewczę tak samo, przy mniejszych zarobkach, odłoży przypuśćmy połowę tego co chłopiec, kupi sobie ładną wyprawę i oboje mogą się pobrać, pod warunkiem, że kupią sobie urządzenie mieszkania, dostaną domek rodzinny z ogródkiem, kuchnią, pokojem, przedpokojem, łazienką, śpiżarnią, piwnicą, elektrycznem oświetleniem, wszystko za 15 kor. tygodniowo (około 4 zł.).

W fabrykach Bati niema żadnych walk klasowych, wszystkich bez wyjątku jednakowo się traktuje. Organizacja pracy jest wspaniała. Część surowca skóry kupuje Batia zagranicą nawet za oceanem, resztę, co tylko można, używa się z krajowych materjałów, a więc lasy okoliczne dostarczają drzewa na kopyta i obczasy, na wyrób papieru do plakatów i ogłoszeń, do pudełek służących do opakowania butów i t. p.

Rygor, karność, dyscyplina, panują w zakładach Batiowych jak w wojsku bardzo surowe. Praca odbywa się celowo i sprawnie. Na jednej sali widzi się rozpoczęcie buta i na tejże samej cały postęp pracy; więc obliczenie na centimetry ilości skóry i innego materjału, a kto lepiej i oszczędniej potrafi wykalkulować, dostaje nagrodę pieniężną.

Potem na sali jest jeszcze dalsze wykonanie trzewika, aż do oczyszczenia go włożenia do pudełka i odesłania do magazynu.

Czystość w fabryce jest wzorowa, wszędzie są umywalnie porcelanowe z wodą bieżącą, czyste ręczniki i ścierki, kosze do śmieci.

Sale są przewietrzane w zimie ogrzanem, a w lecie ochłodzonem powietrzem.

Robotnik nigdy nie narzeka na swego szefa Batię, że jest wykorzystywanym proletarjuszem, nie ma względem niego żadnej zawiści, a pracuje, jak dla siebie, mówiąc: bo to nasze fabryki!

W każdem miejscu, czy to w sali zabaw, czy w pracowniach, na ogrodzeniach fabrycznych i w jadalni pełno takich haseł jak: „Pamiętaj, że dzień ma 84.600 sekund“, „Nasz klient to nasz Pan“, „Ruch to życie“, „Szkoła życia nie ma wakacji“, „Uczmy się od każdego“, „Niepowodzenie jest najlepszym nauczycielem“, „Przemawiajmy naszemi czynami“, „Przezwyciężajmy przeszkody“, „Bądźmy wierzycielami nie dłużnikami“, „Kochajmy swą pracę“, „Ufajcie nam“, „Duch kieruje ciałem“, „Myślmy i miejmy cel życia“, „Służmy wszystkim“, „W szybkości siła“, „Praca to cześć!“

Dwudziestu dwóch robotników postawiło w 10.400 godzin gmach fabryczny ośmiopiętrowy na 500 ludzi.

W rocznicę niepodległości kraju, otwarto czteroklasową szkołę, żłobek, kąpiele publiczne, przychodnię dla matek, szpital dla kilkuset chorych, zakład dla ślepych, w którym oni pracują, ogródki dziecięce, boiska dla dorosłych.

W projekcie ma Batia zbudowanie 200 rodzinnych domków i hotelu dla przyjezdnych. Wszystko to za pieniądze Bati! W lokalu zabaw jest skrzynka dla wyrażenia życzeń i skarg.

Warto zwiedzić Zakłady Bati, każdy z tego wiele skorzysta, bo zobaczy rezultaty pracy jednego człowieka dającego pracę 12.000 ludzi w swojej fabryce, a całemu światu tanie obuwie.

Cennik wyrobów Bati:

1 para męskich zwykłych butów kosztuje	79	koron.
1 „ ozdobnych damskich pantofli	69	„
1 „ zwykłych „ „	49	„
1 „ śniegowców	69	„
1 „ dziecięcych pantofli od	9	„
1 „ tennisowych damskich	19	„

Jeden złoty wynosi około 4 koron. Takich cen w żadnym kraju niema.

Obok robotników pracujących w fabrykach Bati, dużo innych rzemieślników ma jeszcze zajęcie jak murarze, cieśle, piekarze, rzeźnicy, sklepikarze, praczki i t. p.

Przed powstaniem fabryk Bati miasto Zlin miało 2.000 obywateli. W tym roku ma już 17.000 mieszkańców, a na rok 1934 obiecuje Batia Zlinowi 50.000 obywateli.

Cześć wielkiemu obywatelowi, mądremu szewcowi Bati!

Wspomnienia z dwuletniego pobytu w Zurychu (c. d.)

Wysiadłam z auta, rzeczy znieśli mi na korytarz, a ja poszłam do biura. Tu proszono, bym zaczekała, dałam mój list ze szkoły i po chwili przyszła jakaś szczupła elegancka pani, wzięła moją walizkę ręczną i pomogła mi ją zanieść do mego pokoju. Po drodze tłómaczyła mi, że tu trzeba stale drzwi na klucz zamykać, by chorzy nie uciekali z Zakładu.

Pokój mój był na samej górze, z okna miałam śliczny widok na jezioro Zurychskie i na okolice miasta. Moja nowa władza odeszła, oświadczając, że służąca przyjdzie po mnie i zaprowadzi na kolację.

Zaczęłam się rozpakowywać i wszystko starannie układać w komodzie i w szafach.

Zdawałam sobie sprawę, że przez rok cały będą mnie obserwować i że zależnie od opinji osób stojących na czele działów gospodarczych, tych instytucji w których pracować będę, otrzymam dyplom lub go nie otrzymam. Z całą więc dobrą wolą i energją zaczęłam tę moją pierwszą praktykę.

Gdy służąca przyszła, byłam już prawie rozpakowana, poszłam z nią na kolację do jadalni przełożonej z którą tego dnia miałam jeść razem, bo wogóle miałam jadać osobno. W czasie kolacji uważałam, że mnie obserwuje. Zapytałam się co będę musiała robić? „*Musiała* nic" odrzekła. Przeraziłam się i pomyślałam jaka ja niemądra jestem, naturalnie mogliby się doskonale obejść bez praktykantki, przecież to grzeczność ze strony szpitala, że nas przyjmują i wtajemniczają w swoje sposoby gospodarowania. Jak odejdę przyjdzie po mnie dru-

ga, potem trzecia, to dla nich kłopot... i tak niezadowolona z mego zapytania, stałam chwilę zmieszana.

Nic pani nie *musi* robić, bo człowiek nic nie musi o ile sam nie zechce... podobało mi się to zdanie, nie nowe zresztą, ale świadczące, że mam do czynienia z osobą, która się liczy z indywidualnością ludzką. Dowiedziawszy się jakie będą moje obowiązki poszłam spać.

Nazajutrz rano wstałam, posprzątałam pokój i zaczęłam list pisać do Zakładu, by dać znać o sobie. Raptem stanął we drzwiach, które zostawiłam niedomknięte, jakiś człowiek gruby o rysach rażąco brzydkich w ubraniu dosyć zniszczonem. Myślałam, że to jakiś warjat i zaczęłam z nim rozmowę... po chwili powiedział mi: „ale ja muszę iść, bo mogą mnie zobaczyć i śmieliby się ze mnie dozorcy, którzy mają obok swoje pokoje, a pani niech nic nie mówi, że z panią rozmawiałem. Uspokoiłam go, że będę dyskretną.

Jak się potem dowiedziałam, był to stróż nocny, ale biedak tak strasznie brzydki i brudny, że był pośmiewiskiem służby; bał się więc by mu nie dokuczano, że z praktykantką rozmawia. Wogóle nie chciano z nim mieć nic wspólnego i mało kto do niego życzliwie się odezwał, to też nie zważając na to co powiedzą, poświęcałam mu chwil parę przy spotkaniu. Narażało mnie to również potem na kpiny, ale mnie to nic nie obchodziło, bo nie zważam co o mnie powiedzą lub pomyślą o ile robię coś zgodnego z mojem przekonaniem.

(Zdanowska).

Wiadomości.

W tym roku korzystając z pobytu p. Myskiego w Zakopanem przyspieszono egzamina końcowe instruktorek, odbyły się one przy końcu czerwca wszystkie (było ich 9) otrzymały świadectwa z ukończenia kursu.

Rozdanie świadectw miało miejsce w obecności ks. proboszcza, p. Grochmalickiego, p. Przełożonej, dyrektorki działu instruktorek i wszystkich nauczycielek. Niektóre z ukończonych instruktorek otrzymały zaraz posady, kilka pozostanie na praktyce w Zakładzie, inne

odbywać będą praktykę w różnych instytucjach. Jako nagrodę po wytężonej pracy, urządzono dla nich wycieczkę do Poznania dla zwiedzenia wystawy, były też w Kórniku i modliły się na grobie ś. p. p. Jener.

W ciągu lata urządzono szereg wycieczek. Prócz Giewontu, Kościelisk, Czerwonych Wierchów były uczenice na Świnicy idąc przez Zawrat, w Morskiem Oku idąc jedne przez Krzyżnę, drugie przez Wrota Chałubińskiego i Świstówkę. Kierowniczką na kilku wycieczkach była nauczycielka przyrody p. Domaniewska, która idąc z uczenicami zapoznawała je z florą tatrzańską.

Ważnym wypadkiem w życiu zakładowem była msza św. odprawiona w naszej kaplicy przez kardynała angielskiego Bourn. Przyjmowano go z całą uroczystością. Wszystkie uczenice ustawione były wzdłuż głównego korytarza, panie u wejścia; dom ozdobiony był zielenią i flagami o kolorach narodowych i papieskich.

Kiedy samochód zajechał, kapelan zakładowy podał kardynałowi wodę święconą i przemówił po łacinie. Przy mszy służyli kardynałowi ks. proboszcz i kapelan.

Po mszy św. która się skończyła wcześnie bo o 7½ podano śniadanie i kardynał odjechał na dworzec kolejowy.

Sluby.

Panna Teresa Jeleńska wyszła za mąż za p. Goreckiego kapitana woj. pol. Ślub odbył się w Glinciszkach pod Wilnem w kaplicy domowej.

Intencja.

Prosić o zwycięstwo kościoła nad masonerją.

Praktyka.

Zwalczać wpływy masonerji przeciwstawiając się obecnym modom, pewnego rodzaju zabawom, przedstawieniom i t. p.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy kobiet w Zakopanem
Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane-Kuźnice.